

# POZZO NAM GODOT?

Teatr Jaracza, jako gospodarz 4. Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Klasyki Światowej, pokazał premierę *Czekając na Godota* Samuela Becketta w reżyserii **Michała Borczucha**. Najśłynniejsza, a zarazem najnudniejsza (celowo) sztuka irlandzkiego noblisty w radykalnie dosłowny sposób ukazuje egzystencję w świecie, z którego ulotniły się wartości i idee. Czekanie, pustka, usychająca nadzieja... jak pokazać to dzisiaj w teatrze? Festiwalowe pytanie o nowe sposoby wystawiania klasyki zyskuje w tym przypadku paradoksalną wersję - jak intrygująco znudzić widza?

*Spektaklowi towarzyszy preludium* - czytamy w programie. Preludium jest kilkuminutowym nagraniem, którego słuchamy przed wejściem na widownię. Dowiadujemy się z niego o ingerencjach cenzury w spektakle *Czekając na Godota* i ograniczeniach, jakie na wystawiających nakłada dysponujące prawami autorskimi Towarzystwo Beckettowskie, które czuwa nad zgodnością realizacji z tekstem autora. *Nie wolno, należy, nie wolno...* Wydaje się, że te prawne ograniczenia nie pozostawiają reżyserowi żadnego pola manewru. Odtworzenie tego tekstu przed spektaklem wygląda na asekurowanie się reżysera, który zaznacza - przy takich warunkach niewiele da się zrobić. A przecież przykłady sonetu czy vilanelli uczą, że sztuka rodzi się w ramach ograniczeń, że prawdziwi mistrzowie ujawniają swe talenty na wąskich niekiedy marginesach. Może Towarzystwo Beckettowskie daje szansę na ujawnienie się takiego mistrzostwa? Może uchroniło nas od Godota feministycznego, Godota ekologicznego, Godota buddyjskiego i God wie, jakiego jeszcze.

Historia inscenizacji Godota to także historia obchodzenia (wykpiwania) przez reżyserów rygorystycznych ograniczeń. Borczuch również próbuje przemycić coś od (dla) siebie: konieczny na scenie kamień każe wozić na wózku bagażowym, w rolach Vladimira i Estragona obsadza trzech aktorów, którzy przejmują od siebie postaci, didaskalia traktuje jako integralną część tekstu, niektóre kwestie każe odczytywać wbrew ich sensom. Na przykład kłótnia Estragona z Vladimirem, czy wierzba przypomina bardziej krzak czy krzew, zostaje zinterpretowana jako przypominanie sobie roli - spór nie dotyczy już wyglądu rośliny, ale tego, co było napisane w tekście. To niejako klucz do interpretacji przedstawienia - oprócz Estragona, Vladimira, Pozza i Lucky'ego mamy bowiem na scenie postać podającego tekst suflera? reżysera? autora? - grają go różni aktorzy w różnych momentach sztuki.

Czy coś z tych zabiegów wynika? Czasami niewiele poza mrugnięciem do widowni, jak w przypadku wystylizowania postaci posłańca na braci Kaczyńskich z filmu *O dwóch takich...* albo w przypadku komediowej sceny przymierzania kapeluszy. Czasami jednak reżyser i jego aktorzy mówią nam coś ważnego, na przykład w końcówce drugiego aktu, gdy słyszymy archiwalne nagranie angielskiego spektaklu *Czekając na Godota* - aktorzy oglądają albo udają, że oglądają rejestrację w telewizorze ustawionym w kulisie i próbują naśladować ruchy oglądanych postaci. Wychodzi z tego jakaś groteskowa pantomima jak z filmu niemego, do której dołączona jest patetyczna deklamacja. Czy tak odebralibyśmy Godota, zrealizowanego ściśle według zaleceń Becketta? Żyjemy w innej epoce - zdaje się nam mówić reżyser. Obracamy, dzielimy, przekręcamy słowa, wyjmujemy je z kontekstu, ironicznie zestawiamy. To jest naprawdę nasz problem - słowa odkleiły się od znaczeń, znaczenia od pojęć, dźwięk odłączył się od obrazu. Jakbyśmy wciąż pracowali z tekstem na aktorskich warsztatach. Każda epoka czeka na swojego Godota - być może dzisiaj czekamy na kogoś, kto *od nowa nazwie rzeczy i pojęcia*, kto przywróci sens słowom. Kto powie jasno: tak, proszę pana - nie, proszę pana.

Bo przecież marniejemy w zalewie słów, artykułów, naukowych badań. I wciąż nie wiadomo, czemu mimo sportów, antybiotyków i sukcesów teatru postdramatycznego człowiek kurczy się i usycha.

Przywoływany tu monolog Lucky'ego - mimo pozornego chaosu i ironii - jest w (dzięki) interpretacji Andrzeja Wichrowskiego jakąś serio traktowaną mądrością, a jednocześnie dobrze pokazuje trudność odnalezienia w strumieniu świadomości jasnego (ognistego) wątku. W ogóle aktorstwo jest mocną stroną przedstawienia - równie dobry jest partnerujący Wichrowskiemu Mariusz Jakus czy - grający w I akcie Vladimira - Marek Nędza.

Nie jest to przedstawienie przyjazne widzowi i mogą być kłopoty z zapelnieniem widowni przez kolejne tygodnie. To raczej rzecz nadająca się na festiwale, autotematyczna wypowiedź teatralna myślącego paradoksami reżysera, rodzaj artystycznego gestu. W tym tkwi siła spektaklu i jednocześnie jego słabość.